

Godot i jego cień – Antoni Libera

„Godot i jego cień” to historia olśnienia i wędrówki w ślad za Samuelem Beckettem, autorem który jak żaden inny pisarz XX wieku wyraził katastrofę duchową i cywilizacyjną współczesnego człowieka. Książka jest intelektualną autobiografią tłumacza, reżysera i wybitnego znawcy twórczości irlandzkiego autora. Libera z pasją i zarazem autoironią opowiada o swojej fascynacji Beckettem i o tym, jak obcowanie z wielką literaturą staje się centralnym doświadczeniem życiowym.

Antoni Libera

„Godot i jego cień”

rok wydania: 2019

Państwowy Instytut Wydawniczy

Godot i jego cień zamyka cykl książek Państwowego Instytutu Wydawniczego poświęconych twórczości Samuela Becketta. Po dwutomowej edycji jego *Utworów wybranych* oraz *Jesteście na Ziemi, na to rady nie ma! Dialogi o teatrze Samuela Becketta* Antoniego Libery i o. Janusza Pydy – to literackie podsumowanie przemyśleń Antoniego Libery poświęconych autorowi *Czekając na Godota*.

Fragment rozdziału „*Godot w Teatrze Współczesnym*”.

Którejś niedzieli telefon. Dzwoni pan Jerzy Kreczmar, dobry znajomy rodziców, niegdysiejszy pedagog i wykładowca logiki, obecnie wybitny reżyser, czołowa osobistość współczesnego teatru. To właśnie on wystawił na scenie Współczesnego *Czekając na Godota*, spektakl, który od wielu, bodaj dziesięciu, miesięcy cieszy się nadzwyczajnym uznaniem i powodzeniem. Pan Kreczmar się sumituje, że nie zaprosił wcześniej na tę inscenizację, a teraz z propozycją dzwoni w ostatniej chwili, bo na najbliższy wieczór. No, ale tak to już jest, bilety są wyprzedane na wiele tygodni naprzód i nawet on, reżyser, ma bardzo ograniczone możliwości zaproszeń. A zatem czy rodzice mają czas i ochotę, by pójść do teatru dziś wieczór?

Oczywiście, że mają, jakżeby mogli nie mieć i stracić taką okazję.

– Trudno, zostaniesz sam w domu – słyszę chłodną odpowiedź na wyraz moich obiekcji – nie jesteś już małym dzieckiem. Poczytasz sobie książkę albo posłuchasz radia. Możesz położyć się później, zaczekać, aż wrócimy. W nagrodę dowiesz się od nas, kim dokładnie jest Godot.

Wypowiedziane hasło przywołuje natychmiast nierozwiązaną zagadkę i nagle przychodzi mi na myśl, że przecież mógłbym otrzymać odpowiedź z pierwszej ręki – ze sceny, ze spektaklu. A przy okazji nareszcie zobaczyć prawdziwy teatr, o którym tyle słyszę jako o czymś

magicznym. Rzecz jasna, wiem, co to teatr, nieraz już w nim bywałem, pokazywano tam jednak przedstawienia dla dzieci: bajki o krasnoludkach, o Czerwonym Kapturku, historie kukiełkowe. A teatr dla dorosłych to ponoć coś innego, coś niesamowitego! Kiedy się znowu nadarzy tego rodzaju okazja?

– Nie zostanę sam w domu – oświadczam z determinacją. – Źle się czuję. Mam lęki.

– Lęki?

– Zdumienie, groza, niedowierzanie w głosach. No, bo i rzeczywiście, nie zgłaszałem dotychczas podobnych przypadłości.

– A co cię tak niepokoi?

– Trudno powiedzieć – bąkam. – Sam nie wiem, co to jest. Ten pies wysłany w kosmos?

– Psa w kosmosie się boisz? – ojciec moją odpowiedź próbuje obrócić w żart. – Nie jego – odpowiadam – tylko tego, czy wróci.

– Dobrze, zostanę z nim. – Matka chce się poświęcić. – Idź sam – mów do ojca – weź kogoś na moje miejsce.

Ojciec zdaje się jednak mieć inny plan działania. Zamyka się w gabinecie, rozmawia przez telefon, po czym ogłasza krótko, że idę razem z nimi.

– Nadzwyczaj pedagogiczne! – matka nie kryje wzburzenia. – Doprawdy, co za pomysł! To nie jest sztuka dla dzieci, zwłaszcza znerwicowanych.

– Dla dzieci pewnie i nie – ojciec wyraźnie łagodzi, starając się być dowcipny – ale dla neurotycznych to może i wskazana.

Ta różnica poglądów nie ma już jednak znaczenia. Postanowione, idę.

W teatrze dziki tłum, wszystkie miejsca zajęte, ludzie stoją po bokach. Pan Kreczmar poleca komuś, by mi dostawić krzesło obok rzędu rodziców. Matka znów się poświęca: to ona będzie tam siedzieć. Ja z ojcem w fotelach, pośrodku.

Zapada ciemność. Gong. Kurtyna idzie w górę.

I niemal od razu zdumienie. Sądziłem, że teatr poważny, to znaczy dla dorosłych, to jest coś poważnego: postaci „romantyczne”, z prawdziwego zdarzenia – królowie, damy, panowie – słowem: bohaterowie, którzy w dodatku mówią do rymu i rytmicznie. A tutaj co? Błazenada – gagi, wygłupy, cyrk. Klown smutny i niezaradny; i drugi – mądrzejszy od niego. I jeszcze inna para, gruby i chudy: pan – sługa. Że

są to kłowni, to widać już po samych kostiumach, uszytych z materiału w taką lub inną kratę, a pod względem rozmiarów – niezbyt dopasowanych. Kłown głupszy ma wszystko za duże, a mądrzejszy – za ciasne. Poza tym kapelusze – jak Charliego Chaplina. I buty – znów komiczne: za duże albo spiczaste, albo jaskrawobiałe i na wysokim obcasie. I wreszcie imiona postaci: Didi, Gogo lub Pozzo. Czy nie brzmią one podobnie jak klasyczny Bim-Bom?

No tak, lecz są i różnice. Po pierwsze, cyrkowi kłowni – poza tym, że błaznują – na ogół coś jeszcze umieją: zonglować, chodzić na rękach, robić fikołki w powietrzu. Ci zaś nie wykazują takich umiejętności. Ich popisy są żadne, w najlepszym razie niezdarne. Poza tym kłownada w cyrku jest zawsze na wesoło, tylko chwilami na smutno. Natomiast to błazeństwo jest prawie wyłącznie na smutno. Postaci – nawet padając czy tracąc równowagę albo głupio się ciesząc, albo głupio się bojąc – budzą głównie współczucie. Żal ich. To nieszczęśnicy. A kiedy pod koniec aktu okazuje się wreszcie, że czekali daremnie, że tajemniczy Godot znów odwołał przybycie i każe czekać dalej, to nawet więcej niż żal, po prostu litość bierze. No bo cóż smutniejszego niż niespełniona nadzieja, zwłaszcza żywiona tak długo?

Ale jest jeszcze coś, co różni tę rzecz od cyrku. I właśnie to wywiera największe na mnie wrażenie: postać Chłopca-Posłańca, który przynosi wiadomość o przełożeniu spotkania. Od postaci cyrkowych odróżnia go nie Gogo i Lucky tylko rodzaj jego kostiumu: białe ubranko pastuszka, kapelusz typu sombrero i znane mi z autopsji (mam takie same!) sandały, lecz również – i przede wszystkim – sam fakt, że gra go dziecko. W cyrku grywają karły, zwane liliputami, ale nigdy nie dzieci, przynajmniej ja nie widziałem. A oto tu gra chłopiec, co więcej, w moim wieku, wyraźnie w moim wieku, takie rzeczy się czuje.

A zatem i ja bym tak mógł! Szkoda, że teatr... pan Kreczmar nie mnie obsadził w tej roli. Przecież bym mógł, zna rodziców, mieszkamy po sąsiedzku. Ach, cóż by to był za traf, co za niezwykła przygoda! Znajomość z aktorami, próby (zwolnienia ze szkoły!), wychodzenie na scenę, aplauz widowni, ukłony. Ale to jeszcze nic! Grając Chłopca-Posłańca, można by wpłynąć na akcję, można by zmienić ją! Godot wprawdzie nie przyjdzie, bo nie ma takiej postaci, mógłby on jednak na koniec przekazać inną wiadomość: nie że przyjdzie nazajutrz, lecz że zaprasza do siebie. Kluczową kwestię Chłopca wystarczy nieznacznie zmienić: *Pan Godot powiedział mi, żebym powiedział panu, że... wprawdzie przyjść nie może, ale że prosi do siebie. Za mną, panowie! Chodźmy! Zaprowadzę was tam. Czyż takie zakończenie nie byłoby dużo lepsze?*

Zwierzam się z tego pomysłu podczas powrotu do domu. Jedziemy starym tramwajem, który dudni i trzęsie.

– Byłoby przyjemniejsze – mówi ojciec z naciskiem – nie byłoby jednak prawdziwe.

– Dlaczego by nie było? Wystarczy tak napisać. Wystarczy tak zagrać na scenie.

– To właśnie byłby fałsz – ojciec broni autora. – W życiu jest tak jak w sztuce.

– Nie trućbyś mu umysłu – zwraca uwagę matka. – Od takiej filozofii odechciewa się żyć.– Niekoniecznie. – Do ojca argument ten nie trafia.
– A czasem się człowiek hartuje. Łatwiej jest znieść wiele rzeczy, będąc przygotowanym raczej na gorsze niż lepsze, a zwłaszcza na najgorsze.

Dalsza podróż do domu upływa nam w milczeniu.

Po późnej, małej kolacji ojciec nastawia radio i słucha Wolnej Europy.
Po „Faktach” podają nagle wiadomość z ostatniej chwili.

Według agencji TASS pies Łajka, zgodnie z planem, został ostatnim posiłkiem otrzymanym w kosmosie humanitarnie uspiiony, po czym wracając na Ziemię, spłonął wraz z satelitą.

– Zbyt piękne – mówi ojciec – aby było prawdziwe.

– Co niby jest piękne? – matka. – Zastanów się, co mówisz!

– To, że go wcześniej uspił.